

Nasz ŚWIDERMAJER

HANNA LITWIN



Zdjęcia zamieszczone w książce (jeśli nie opisano inaczej)
oraz na okładce pochodzą ze zbiorów Autorki.

Redaktor prowadzący

Teresa Łozowska

Redakcja

Dominika Kawczyńska-Wojtuś

Projekt okładki

Ania Skurska

Skład

Wojciech Szybisty

© Copyright by Hanna Litwin

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2023

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie.

Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-723-0

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński

90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14

tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02

infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg 414 79 54

www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2023. Wydanie 1

Spis treści

Przedmowa	11
Wstęp	13
Opowieść o Niej.....	17
...o Nim	24
...o Polance i Romanowie	34
...o lesie	37
...o Linii, która zaczęła się od Świdra	39
...o architekturze.....	45
...o Drewniaku	47
...o jednej ulicy.....	51
...o pierwszym roku.....	53
...o początkach pierwszej wojny	58
...o spotkaniu z siostrą miłosierdzia	64
...o nauce	66
...o koligacjach	69
...o podróży na Kaukaz	73
...o Rostowie.....	76
...o hierarchii i koligacjach w Kaukaskiej Armii.....	78
...o Tyflisie	81
...o wcześniejszym powrocie	87
...o pałacowym szpitalu	91
...o Erzurum	94
...o pociągach	97
...o nieznanym odznaczeniu i krótkim urlopie	100

...o zatopionym statku.....	105
...o narodzinach pomiędzy rewolucjami.....	108
...o pierwszym marszu kubańskim, zwanym lodowym	115
...o powrocie.....	117
...o Odessie	122
...o powrocie razem	125
...o nowym życiu.....	130
...o znaczku prześladowanym politycznie	134
...o druku w Szwajcarii i szmaragdowej bransoletce	136
...o nawale bolszewickiej i szpitalu.....	138
...o białym koniu.....	144
...o Cudzie nad Wisłą	146
...o czasach spokojnych.....	149
...o wystawie w Paryżu.....	152
...o sprzedanym skarbie	157
...o zaginionym zbiorze.....	159
...o odnalezionym zbiorze	160
...o wolnej Kokocie	162
...o architekcie.....	164
...o rozstaniu	167
...o Przysposobieniu Wojskowym Kobiet	169
...o zamianie nazwisk.....	176
...o biżuterii	180
...o pierwszym roku drugiej wojny	182
...o zrabowanym muzeum	184
...o ośmiu wierszach.....	189
...o Obroży	193
...o wędrującym grobie.....	196
...o miłości w czasach okupacji.....	198
...o spuszczeniu świerka	200
...o zwykłym życiu w czasach okupacji.....	203

...o kielbasianym interesie.....	205
...o pani Adeli – pierwszym gościu	209
...o tragicznym wyborze pani Błędowskiej	216
...o tęsknocie w czasach okupacji	218
...o panu Kołkowiczu – drugim gościu.....	220
...o maszynopisie znalezionym na podłodze	227
...o aresztowaniu.....	228
...o dwóch Sawickich.....	231
...o Pawiaku.....	233
...o przyjeździe do Auschwitz.....	235
...o numerze	237
...o Brzezinkach.....	239
...o rodzinnym spotkaniu w Auschwitz	243
...o upokorzeniu.....	245
...o listach ze Szwecji – list pierwszy	249
...o wyzwoleniu Otwocka	254
...o różańcu zza deski.....	256
...o międzynarodowym szpiegu – początek	259
...o powrocie i niciach.....	263
...o szyciu.....	268
...o międzynarodowym szpiegu – dokończenie.....	270
...o papierosnicach – drewniakowe artefakty	273
...o listach ze Szwecji – list drugi	276
...o listach ze Szwecji – pierwszego listu ciąg dalszy	277
...o nadziei	280
...o zdjęciu w pasiakach	282
...o kwaterunku.....	284
...o <i>swoich</i> Cyganach	289
...o powrocie z Riazania.....	293
...o myszce, która <i>siedziała jak mysz pod miotłą</i>	294
...o muzyce	296

...o kurze i jej czterech nogach.....	299
...o drewniakowych artefaktach.....	302
...o zrzucie dla AK – drewniakowe artefakty.....	304
...o lodówce – drewniakowe artefakty.....	307
...o chorobie ciała i duszy	309
...o powojennych psach.....	311
...o wyścigach na Służewcu	314
...o tym, jak Leokadia podpaliła Drewniak.....	317
...o doktor Jaworskiej	320
...o wielkim dniu	322
...o spotkaniu po latach i plastikowych miskach	326
...o Leokadii mojego dzieciństwa.....	330
...o Świdrze mojego dzieciństwa	335
...o Otwocku mojego dzieciństwa	340
...o krwiobiegu Drewniaka	344
...o wannie – drewniakowe artefakty	348
...o pierogóży.....	353
...o innym Drewniaku	356
...o pierwszych bitwach	358
...o przełomowym rivanolu	360
...o nowych domach	365
...o porzuceniu Drewniaka	367
...o tym, jak było wspnianie	369
...o nowym domu.....	372
...o decyzji.....	376
Opowieść ostatnia.....	379

Przedmowa

Pragnę zapewnić Szanownego Czytelnika, że wszystkie wydarzenia zamieszczone w niniejszych opowieściach wydarzyły się naprawdę. Odtworzyłam je z archiwów rodzinnych, pamiętników, relacji świadków oraz własnej pamięci. Nazwiska mojej rodziny pozostały w niezmienionej formie. Podobnie nazwiska osób już nieżyjących. Inne zostały nieznacznie zmienione – pozostawiając wybór – kto zechce, odnajdzie się w tych opowieściach.

Początkowo zamierzałam pisać jedynie o losach rodzinnego świdermajera, ale opowiadając jego historię, siłą rzeczy musiałam opisać historię Świdra, który dziś jest dzielnicą Otwocka. Mam nadzieję, że Czytelnika nie rozczaruje to rozszerzenie, bo tak jak w Świdrze, tak w pozostałych dzielnicach Otwocka historia snuje się po pokojach ostatnich świdermajerów. Szumi w drzewach starych ogrodów i wyrasta wprost z ziemi w betonowych skamielinach podmurówek parkanów nieistniejących już willi. Otwock nie jest tylko tuzinkowym podwarszawskim miasteczkiem. Otwock jest opowieścią...

Wstęp

Miałam 12 lat, kiedy zmarła moja prababcia, zwana Babunią, i wraz z jej śmiercią runął ład Drewniaka. Runął porządek domu i porządek życia, opisany ścisłymi regułami i zasadami w tym domu panującymi.

Ale zanim do tego doszło, na długo przed śmiercią prababcia uznała, że odczuwanie dawnego świata poprzednich pokoleń jest wartością, którą należy przekazać dzieciom, właśnie tu, w świdermajerze. Bo tylko tu, w tym stuletnim domu, zachowała się dawna atmosfera stylu życia, który wydawał się archaiczny i nie przystawał do otoczenia. Drewniak był skansenem ducha.

Kiedy o tym zdecydowała?

Czy wtedy, gdy uczyła mnie ładnie siedzieć przy stole, czy może wcześniej, gdy przebierała mnie jak lalkę i na specjalne okazje kazała nosić majteczki z falbankami na pupie i zawsze, zawsze białe podkolanówki?

Podobnie bawiła się moim ukochanym bratem – codziennie garniturek z muchą i zawsze, zawsze białe podkolanówki. Nasze stroje bywały naprawdę niezwykle. Kiedy mieszkaliśmy w Świdrze i wychodziliśmy z gospożą do rzeźnika lub do magła, wyglądaliśmy jak w drodze do pierwszej komunii. Tym przebieranikom i naszym nieśmiałym próbom buntu towarzyszyła zawsze długa i zawsze ta sama pogadanka – że *noblesse oblige*, że wokół niestety inny styl i kwaterunkowi, że przecież możemy spotkać mecenasa (mała szansa) lub doktor Jaworską (znacznie większa). Mieliśmy zatem poczucie misji i wyjątkowości. I choć spadały mi podkolanówki, a brata uwierała mucha pod szyją, czuliśmy się kochani w tym zadbanu i trosce o nasz wygląd i maniery.

Cierpliwie znosiliśmy też kindersztubę – dzieci i ryby..., przywitaj się, dygnij ładnie, nie garb się, nie śpiewaj przy stole, nie skrob widelcem, nie machaj sztucami, nie siadaj przed starszymi, nie przerywaj itd. Nie, nie, nie... bezkompromisowe dobre maniery. Lubiłam to, bo kochałam Babunię. Czasem celowo się garbiłam, tylko po to, by usłyszeć uwagę i wiedzieć, że na mnie czujnie patrzy, że czuwa.

Poczucia wyjątkowości dodawały również wspomnienia o dawnej świetności. O podróży salonką z cygańską orkiestrą, o balach i brydżach, wyścigach konnych, samochodach, sukniach i kapeluszach. Paryż, Genewa, Monte Carlo – same nazwy wywoływały dreszcz. Opowieści niknęły gdzieś w dalekiej przeszłości, nieumiejscowione w konkretnym czasie, ale zasilają moją dziecięcą wyobraźnię i rozpalają tęsknotę za tym, co jawiło się jako takie wspaniałe, a w czym nie dane mi było uczestniczyć. Przebierałam się jak każda dziewczynka i w długiej babcinej spódnicy przewiązanej paskiem godzinami trenowałam eleganckie chodzenie po naszych wielkich kręconych schodach. Inaczej podbierało się suknię, idąc w górę, a inaczej idąc w dół.

Wiedziałam już, że świat dzieli się na ten kolorowy i wspaniały – przed wojną – i na ten szary, obecny, peerelowski – który jest przeciwko nam i w którym żyjemy z poczuciem Misji. W zestawieniu z warszawską betonową płytą blokowisk nasz wielki drewniany Świdermajer wydawał się tej Misji ostatnim bastionem.

Misja trwała nie tylko na schodach, gdzie trenowałam ładne chodzenie. Jej odbicie można było znaleźć w obrazach i portretach, w meblach, w obcojęzycznych książkach w gabinecie, w pokoju kąpielowym z wielką wanną na kurzych stopach i w gosposi w białym fartuchu. Nawet w psie jamniku o wystających zębach, który – gdy w szczeniństwie zawtórował gęsi – dostał imię Kapitol, a ja tłumacząc to imię, musiałam obdarowywać antyczną wiedzą właścicieli sąsiedzkich Miśków i Burków. Już wtedy jako dziecko wiedziałam, że Misja jest w nas i że kiedy dorosnę, poniosę Misję dalej.

Tymczasem zanim dorosłam, los naszego Świdermajera zdawał się przesądzony. Dom popadał w ruinę i wołał o ratunek, którego nikt mu nie udzielił. Całkowicie egzotyczni i nieznani *spadkobiercy*, rozprzeczali sosnową, leśną parcelę, zaś na rudę brakowało chętnych. Z czasem okazało się, że prababcia miała całkiem makiaweliczny plan, który w efekcie zdeterminował moje życie. Czy powinnam czuć żal, czy wdzięczność za taki wybór?

Czy prababcia wiedziała, że Misja pozostanie we mnie na zawsze? Podobnie jak na zawsze pozostała we mnie miłość do domu. Miłość do wielkiej, starej, zdewastowanej, odrapanej rudery, gdzie kolejne pokolenia meneli i poszukiwaczy skarbów wyrwały drzwi, okna, klamki i rozkuwały piec. Płakałam. Ilekroć co kilka lat przyjeżdżałam do Świdra, stwierdzałam coraz większą dewastację. Obchodziłam dom, wsadzałam nos w deski i wąchałam ten jedyny, specyficzny zapach rozgrzanego drewna, pleśni i czegoś jeszcze... Przeszłości? I nic nie mogłam zrobić...



Nasz Świdermajer w 1988 r.

Oj, Babuniu, moja Babuniu, przecież kochałaś ten dom! Dlaczego tak postąpiłaś? Odkąd pamiętam, walczyłaś o utrzymanie go na poziomie, choć już ani środków, ani sił Ci nie starczało.

Siadałam na pieńku po kolejnej zrabowanej sośnie i tak się żaliłam, nie wiadomo do kogo, wpatrując się w pustą kapliczkę, w której już nie było Matki Boskiej.

A potem snułam się po zdewastowanych pokojach, a dom opowiadał:

– Zobacz – mówił do mnie – pod tą klapą w tej piwniczce ukryła się Halina, gdy szukało jej UB...

– A ten dziwny wichajster służył do włączania fontanny...

– W tej duchówce był schowany rewolwer...

– Te książki na podłodze to carskie srebrne wydanie Tołstoja, tylko blaszki srebrne ukradli...

– A z tej skrzyni wiewiórka wyniosła jednej nocy wszystkie orzechy...

I tak dalej, i tak dalej snuł opowieść, a ja myślałam o ludziach, którzy ten dom stworzyli i którzy w nim mieszkali. Metafizycznie i prawie fizycznie czułam ich obecność. I podnosiłam z podłogi zakurzony tom Tołstoja bez srebrnej blaszki jak bliskiego przyjaciela, bo wspomnienia podnosiły jego wartość... A Drewniak mruczał, trzeszczał i opowiadał...

Opowieść o Niej

Moja prababcia Leokadia urodziła się w 1897 roku w Piotrkowie Trybunalskim w rodzinie Włodarskich. Ta data urodzenia nie jest pewna. W rodzinnym archiwum różne dokumenty podają różne daty, to postarzając, to odmładzając moją prababkę przy – lub po – kolejnych dziejowych kataklizmach. Podobno wśród pań żyjących na przełomie wieków odmładzanie było szczególnie powszechną praktyką. Ponieważ jednak w swoich opowieściach Leokadia konsekwentnie utrzymywała, że wyszła za mąż, mając lat 16, ten rok urodzenia wydaje się prawidłowy.

Podobny kłopot jest z jej imieniem – w polskich dokumentach widnieje Leokadia, zaś w rosyjskich Nadieżda. Posługiwała się tymi imionami i ich zdrobnieniami swobodnie i naprzemiennie według zasady, że w środowisku polskim funkcjonowała jako Leokadia, zaś w środowisku rosyjskim – Nadieżda. Ojciec Leopold, urzędnik w cyrkule, matka Katarzyna z Kowalskich, wychowała dziewięcioro dzieci. Leokadia była przedostatnia, po niej już tylko Lolek. Mieszkański domek z ogródkiem przy głównej ulicy w Piotrkowie. Ogrodnik, będący w lepszych okresach stajennym, bona, praczka, kucharka i korowód zmieniających się służących w białych lub pasiastych fartuszkach.

Jedna z nich – Rysia – zapukała któregoś styczniowego poranka 1913 roku do drzwi sypialni swojej pani.

– Proszę pani, Łodzi nie ma w pokoju.

Był to czas przerwy świątecznej dla uczniów, który przedłużył się nieznacznie ze względu na śnieżną pogodę. Leokadia uczyła się w Warszawie w III Gimnazjum Żeńskim na Krakowskim Przedmieściu i mieszkała na stacji dla dziewcząt pani Grzybowskiej, przez którą to stancję wcześniej przewinęły się jej dwie starsze siostry – późniejsze panie Skolimowska i Chołódowska.

– Dokąd wyszła? – Postawna matrona, upinająca w tym momencie sztuczne, ale z prawdziwego włosa loki, odwróciła głowę od lustra.

– No, właśnie nie wiem, proszę pani.



Rodzina Włodarskich bez dwóch najstarszych braci. Leokadia na fotelu z prawej.
Piotrków Trybunalski, ok. 1900 r.

– Dzisiaj niedziela, może poszła do kościoła?

– Ale kiedy rano przyszedłam dorzucić do pieca, to jej nie było.

Ręka wznosząca złoty pukiel znieruchomiła. – Nie było jej o szóstej rano?

– W ogóle jej nie było, proszę pani, od wczoraj.

Brwi i okazałe kształty pani Katarzyny zaczęły równolegle dźwigać się w górę.

– Jak to od wczoraj?

– No, chyba, bo łóżko nieruszane.

– A wczoraj kiedy ją widziałas?

– Wczoraj wieczorem, już grubo po kolacji, powiedziała, że wychodzi do furtki.

W ten sposób szesnastoletnia Leokadia wkroczyła w dorosłość. Rozpłynęła się we własnej przyszłości, przekraczając rodzinną furtkę.

Wielofazowe poszukiwania – od najbliższych znajomych po carską żandarmerię – nie przyniosły rezultatów. Policyjne śledztwo w Warszawie prowadziło do Piotrkowa, a dochodzenie w Piotrkowie nie przyniosło żadnych efektów, ale zelektryzowało miasteczko. Na bazarze, w sklepach, wieczorami przy lampach naftowych dzielono się plotkami i domysłami. Od zwykłych banalnych

(zamordowana dla pieniędzy) do najbardziej fantastycznych (porwana przez bogacza) i romantycznych (uciekła z oficerem z miłości).

Ciekawość miasteczka została jednak wystawiona na ciężką próbę, gdyż nawet po nadejściu wiadomości, nie zdecydowano się na upublicznienie jej treści. A wiadomość po dwóch miesiącach przyszła listem z zagranicy. Była na zwykłej pocztówce, ale w kopercie, dla zachowania dyskrecji, o następującej treści: *Jestem w Genewie. Ślub wzięłam w Cerkwi – Z szacunkiem – Leokadia – Nadieżda.*

Cóż, trzeba podać na policję. Zawiadomić panią Grzybowską i szkołę. Co za wstyd, co za hańba! Nie było nawet słowa przepraszam! Co znaczy ta cerkiew – zmieniła wyznanie? I co za Nadieżda – zmieniła imię? Jak zmieniła wyznanie, to znaczy, że to Ruski! Co za wstyd, co za hańba! Czy w Genewie mają cerkwie? A może cerkiew w Warszawie?

Nie było rady – należało jechać. Pan Włodarski marudził, zwlekał przeszło miesiąc, aż wreszcie pod pozorem odwiedzin rodziny, spakował kuferek i udał się do Warszawy.

A był to już maj i w Warszawie kwitły bzy. Po wyjściu z dworca wziął dorożkę i kazał fiakrowi wieźć się na Pragę. Nie było wówczas połączenia kolejowego z Dworcem Petersburskim. Kolej Warszawsko-Wiedeńska kończyła bieg w centrum miasta, zaś Kolej Warszawsko-Petersburska – o szerszym rozstawie szyn – miała stację początkową na Pradze. Istniał wprawdzie na wysokości cytadeli strategiczny most, na którym ułożono i wąskie, i szerokie tory, ale wykorzystywała go tylko armia. Dla cywilów Wisła dzieliła kolejowy świat wschodu i zachodu. Stara anegdota głosiła, że zarówno Rosjanie, jadący do Paryża, jak i Francuzi podróżujący do Petersburga, po rozejrzeniu się dookoła na stacji w Warszawie odnosili wrażenie, że dotarli na miejsce.

Włodarski wysiadł z dorożki i przysiadł na ławeczce pod latarnią dla uporządkowania myśli. Praska cerkiew Marii Magdaleny, oblana majowym słońcem, wyglądała przepięknie. Wśród okalających ją kwitnących bzów wydawała się cała ze złota. Zgodnie z zamierzeniem namiestnika górowała nad całą prawobrzeżną Warszawą. Wokół niej – ruch konny, samochodowy i pieszy. Nawoływania, rozmowy, handel, krzyki i rozgardiasz – a nad tym wszystkim górowały spokojne, majestatyczne kopuły.

Ten spokój nappełnił Włodarskiego otuchą. Westchnął, wziął głęboki oddech i pchnął furtkę, żeby wejść na teren cerkiewnego ogrodu. Obawy Włodarskiego były uzasadnione. Nie dość, że po raz pierwszy miał wejść do cerkwi, to jeszcze niezbyt wykwintnie władał rosyjskim, co mogło mu znacznie utrudnić i tak trudną rozmowę. Jako carski urzędnik znał oczywiście rosyjski w stopniu

wystarczającym do wykonywania dyrektyw naczalstwa, jednak nigdy nie musiał w tym języku mówić o sprawach prywatnych i delikatnych. Tymczasem już w ogródku natknął się na młodego duchownego.

– Niech będzie pochwalony – z powagą zaczął Włodarski.

– Na wieki wieków – odparł młody diakon, pozbawiając Włodarskiego złudzeń co do języka konwersacji.

– Ja chatiełby, ja chatiełby... uznać czegoś o ślubach.

Brwi diakona o bizantyjskiej twarzy uniosły się, nadając jej wyraz lekkiego zdziwienia.

– Padażditie – rzucił i pospiesznie się oddalił, stawiając na wąskiej ścieżce między rabatami stopy jedna za drugą, co upodobiło jego ruchy do gejszy w tańcu. Włodarski przysiadł na ławce.

Proboszcz, ks. Apolinary Kowalnicki, pojawił się po półgodzinie, w ciągu której Włodarski zdążył już nie tylko zirytować się sam sobą, potem zrezygnować z misji, ale i przysnąć na chwilę.

– Sława Isusu Chrystu. – Usłyszał nad sobą Włodarski i automatycznie odpowiedział słowami diakona.

– Na wieki wieków. – Po uchyleniu nagrzaných powiek ujrzał postać zażywego popa w sile wieku, z długą, lekko siwiejącą brodą.

– Dziecka szukam.

– U nas?

– W styczniu uciekła, ślub w cerkwi wzięła.

– To ty nie dziecka szukasz, tylko żeńszczyzny i to naszej prawosławnej. U nas ślub wzięła?

– Nie wiem. Wiem, że w styczniu. A od nas do waszej cerkwi najbliższej.

– Pajdiom. Wy Polak, katolik?

Włodarski skinął głową.

– Znaczit, my jejo chriestili.

– Przecież ona chrzczona była, to po co?

– Bo ja zawsze chrzczę jak z innego obrządku. Różnie to bywa, katoliki, ni-by-katoliki, protestanty, jewrieje, jeszcze inne... – nie wiadomo. A jak ochrzczę, to i na zdrowie wyjdzie i grzechu nie ma. Pismo chrzcic dwa razy nie zabrania, ale ślub nieochrzczonego dać zabrania, tak i chrzczę na wszelki wypadek, żeby grzechu nie było...

Tak gawędząc, doszli do biura parafialnego, gdzie proboszcz wydał diakonowi o chrystusowej twarzy polecenie przeszukania w księdze chrztów zapisów styczniowych. Pod datą 10 stycznia stało: *Włodarska Leokadia. Rodzice*

chrzestni Włodzimierz Poliański i Maria z Wołkowińskich Poliańska. Imię przyjęte na chrzcie – Nadieżda.

– Przechrzta – szepnął Włodarski z kamienną twarzą, przeżegnał się automatycznie i łza zaczęła mu spływać po policzku. Dobrze oczy Kowalnickiego spojrzwały na niego współczująco.

– Jefriej, stawiaj samowar, budiem pić czaj.

Długo pił Włodarski tę herbatę z proboszczem Apolinarym. W tym czasie Jefriej odszukał odnotowany pod tą samą datą związek małżeński pomiędzy panną Nadieżdą Włodarską lat 20, wyznania prawosławnego, a porucznikiem carskiej kawalerii Włodzimierzem Poliańskim, lat 34, wyznania również prawosławnego. Informacja ta była już tylko potwierdzeniem oczywistości.

Lodka nie tylko spełniła najbardziej fantastyczny sen miasteczka, czyli uciekła z bogatym oficerem, ale jeszcze zmieniła wyznanie i imię! W dodatku kłamała, bo lat miała zaledwie 16!

Na próżno dobry proboszcz starał się łagodzić i przekonywać. Nalewał herbatę z samowara, podsuwał konfitury i cukier w kawałkach *na prikusku*.

„Przechrzta” – łomotało w głowie Włodarskiego. „Wyrzekła się wyznania! Ruski! Ruski sądat!”.

I konfitury, i cukier, i samowar, a wreszcie sam proboszcz – to wszystko było obce, ruskie!

„Zniewolili kraj, to dają słodycze, a teraz zniewolili mi dziecko!”.

Włodarski postanowił wziąć się w garść. Podniósł głowę – nie pokaże więcej słabości temu ruskiemu Judaszowi.

Tymczasem Judasz starał się być bardzo miły, by pokryć lekkie zmieszanie, bo co prawda sumienie miał czyste – ochrzcił jak Bóg przykazał, a młodzi ślub wzięli po dobroci i przy matce, ale jednak nie upierał się, by dostarczyli metryki. Trudno się upierać, gdy oficer najjaśniejszego pana ręczy słowem. Teraz jednak poczuł niepokój, że Włodarski może o te metryki zapytać.

Nie zapytał. Dowiedziawszy się jeszcze, że Poliańskije to stara, dobra smoleńska szlachta, a *ruskie oficjery* rezydują na Zamku Królewskim, pożegnał się i opuścił plebanię. Ojciec Kowalnicki poczuł ulgę.

Włodarski chciał tam pójść, coś ciągnęło go na drugą stronę Wisły pod zamek. Szedł, dumając, do mostu Kierbedzia. Wyrwał go z zamyślenia hałas i hurgot. Most był drewniany – odgłos kopyt końskich wydawał się narastać. Może ją zobaczy? Ale zrezygnował. A skąd wiadomo, że tam jest? I co niby miałby sobie powiedzieć? Po prawdzie to nigdy z nią za dużo nie rozmawiał. I o czym miałby dyskutować z jej ruskim porucznikiem kawalerii? Już za późno, już się stało. Na

szczęście są inne dzieci. I Lolek. Myśl o najmłodszym i najśłodszym zawsze poprawiała mu humor. Popatrzył na warszawską Starówkę, na chaotyczny ruch na moście, odwrócił się od Wisły i począł w przeciwnym kierunku po dorożkę.

Siedząc potem na dworcowej ławce, uświadomił sobie, że gdy już pogodził się ze stratą córki, miejsce rozgoryczenia zaczęło zajmować coraz większe zdumienie. Jak to się stało, że panna z Piotrkowa (panienka przecież, właściwie dziecko) wyszła za ruskiego ułana z Zamku Warszawskiego? Gdzie się spotkali? Jak się poznali? No, przecież musieli spotkać się, chyba co najmniej kilka razy... Gdzie? Pewnikiem w Warszawie, ale tam Lodka była przecież pod stałą opieką pani Grzybowskiej albo damy klasowej. Diakonik wspominał coś o swatach, a zatem ślub był przygotowany wcześniej! Co jej obiecał ten Rusek, prawie 20 lat od niej starszy, że zdecydowała się porzucić rodzinę? Wiedziała przecież, że jej nigdy nie wybaczą.

Te i masa innych pytań nie dawała mu spokoju, nie tylko w drodze do Piotrkowa, ale przez całe życie. Nigdy nie poznał odpowiedzi. Tak samo jak nie poznały jej kolejne pokolenia w naszej rodzinie. Raz tylko, przy stole, podczas jakichś świąt, gdy mowa była o kawalerzystach, Leokadia stwierdziła, że gdy pierwszy raz ujrzała swojego męża, jechał konno.

Czy zawinił ten ogródek przy głównej drodze w Piotrkowie, w którym latem przesiadywała? Może to tam tęsknotę do świata rozbudził jadący konno szwadron carskiej kawalerii, ślicznych, rozśpiewanych, nonszalanckich Ruskich, niknących w opadającym kurzu? Innym razem wspomniała o przypadkowym spotkaniu w kolumnadzie pałacu Saskiego, gdy Wołodia szedł na służbę Bożą do soboru św. Aleksandra Newskiego. Czyżby jej ułan spacerował po parku, wodząc wzrokiem za jedną z uczennic wracających ze szkoły?

Pewne jest, że chciała uciec. Uciec z Piotrkowa w wielki świat. A była już w siódmej klasie i wiedziała, że gdy odbierze świadectwo ukończenia szkoły, wróci do wiecznie zakurzonego Piotrkowa, apodyktycznej matki i nieszczęsnego ogródka. Starsi bracia jakoś się usamodzielnili w świecie, ale siostry zaraz po szkole zostały wydane za mąż i zasiły szereg urzędniczych piotrkowskich żon. Gospodyń zapyziałych domków z małymi ogródkami. Tymczasem ona, jak każda nastoletnia panienka, marzyła o zakochanym księciu, życiu w luksusie i zwiedzaniu świata. Pragnęła nowych wrażeń i przygód – banalne marzenia młodych panien, które jednak w jej przypadku miały się ziścić, choć w przewrotny sposób.

Podróż poślubna przez Genewę wiodła do Paryża. Leokadia od dnia ślubu żyła jak w bajce, w tej właśnie bajce, którą sobie wymarzyła – jechała salonką i piła szampana. Nie miała świadomości, że jej nowy, bajecznie bogaty mąż, tak



Uśmiechała się do tych wspomnień. Warszawa, 1913 r.



Maria Michajłowna z Wołkowińskich Poliańska.
Zdjęcie wykonane przez nadwornego fotografa
I. Antonopulo. Odessa, 1882 r.

naprawdę jedzie do Paryża z konieczności, po pieniądze. Złoty medal otrzymany na wystawie filatelistycznej niósł ze sobą nie tylko prestiż, ale też znaczną gotówkę. Dymisja z pułku wiązała się z utratą żołdu i apanaży, a więc zmuszała do zabezpieczenia innych źródeł dochodu.

Ale o tym młoda żona nie wiedziała. Ona zatrzasnęła za sobą wszystkie drzwi w Piotrkowie i z pełnym zaufaniem oddała się realizacji swoich marzeń. Na razie pielęgnowała świeże wspomnienia. Kupno pięknej ślubnej sukni, leżącej teraz w pudle w rogu salonu, ślub w koronach i on – mądry, światowy, czuły. Uśmiechała się do tych wspomnień w takt miarowego, usypiającego dudnienia pociągu.

A jednak co jakiś czas powracało i nie dawało się odgonić nieprzyjemne wspomnienie krótkiego, właściwie przelotnego spotkania z nowo poznaną postawną matroną, która teraz była jej teściową. Maria Michajłowna z Wołkowińskich Poliańska, przebywając z wizytą u syna w Warszawie, zgodziła się przybyć do cerkwi właściwie pod przymusem. Na potrzeby tych opowieści skrócimy jej otczestwo i nazwisko i nazywać ją będziemy Marią Wołkowińską.

Opowieść o Nim

Maria Wołkowińska była niezwykle zdumiona i wręcz zażenowana, gdy powściągliwy dotychczas syn prosił, klękał, tłumaczył, całował po rękach i zaklinał. Ukochany jednak, choć przecież trzydziestoczteroletni mężczyzna, twierdził, że nie mógłby wziąć ślubu bez zgody Matuszki, a Ojciec jakoś da się przekonać.

– Żyjemy w XX wieku, nawet w armii zachodzą zmiany, więc jeśli tylko Matuszka da zgodę, a potem Ojca odpowiednio przygotuje, to przecież i Papasza zrozumie.

Zrozumie, co to miłość, co to znaczy tak żyć, tu, w Warszawie. Albo po żołniersku zapijać smutki w Klubie Myśliwskim na Erywańskiej, albo szperać po archiwach. Byłe tylko uciec od żołnierskiej kompanii.

A ona? Nadzieja na inne życie. Nadzieja – tak Nadzieźda! To cóż, że z innej sfery? Toż to cwietczek, laleczka, cudo niewinne, świata nieznające i takie dobre, takie śliczne i zakochane! On ją wszystkiego nauczy – zobaczy Mama – wszystkiego!

Mój szlachetny, naiwny pradziadek! Jakże się wielokrotnie mylił w ocenach. Chciał być rodzinnym Pigmalionem. Tymczasem, jak pokazało życie, ona nie pozostała tylko tworem jego rąk. W przyszłości to cudo maluchne wraz z utratą niewinności będzie przemieniać się w coraz bardziej niezależną kobietę.

Natomiast Papasza... no cóż. Nigdy nie podzielał i nie pochwalał zainteresowań innych niż żołnierskie. Kolekcjonerstwo i filatelistyka, które pochłaniały Wołodę, wydawały mu się stratą czasu. Miał nadzieję, że gdy syn rozpocznie żołnierską karierę, to porzuci te głupstwa. Wsiąknie w życie oficerskie – głośnie, szybkie – i je zaakceptuje. Właściwie – prawie tak się stało.

Kiedy Włodzimierz wyjeżdżał z rodzinnego Petersburga do Warszawy, generał – major Wasilij Amfianowicz Poliański (nazywany w rodzinie Bazyli) – był już spokojny o jego karierę. Wcześniej różnie bywało – ten syn, tak różny od ojca, zawsze budził obawy. W dzieciństwie był, zdaniem generała, jakiś nieobecny, nieinteresujący. Gdy latem rodzinie i wakacyjnie Poliańscy przebywali



Generał Wasilij [Bazyli] Amfianowicz Poliański.
Petersburg, 1898 r.



Wołodia Poliański w mundurku Liceum
Aleksandryjskiego. Petersburg, 1893 r.

w swoim majątku Zubowszczyna pod Smoleńskiem, Wołodia potrafił nie wychodzić z pokoju całymi dniami. Po prostu czytał wszystko, co udało mu się znaleźć, lub raczej, co przywoził ze sobą, bo w Zubowszczynie wielu książek nie było.

W Petersburgu zachowywał się jeszcze gorzej. W latach szkolnych zaczął interesować się filatelistyką i to go jeszcze bardziej oddaliło od ojca. Wołodia spędzał czas w archiwach lub antykwariatach, prowadził korespondencje z dziwnymi ludźmi, pisał jakieś prace, których nie udostępniał domownikom... Matka jakoś lepiej rozumiała syna. Dla Bazylego to był niepojęty świat.

Po ukończeniu nauki w Imperatorskim Liceum Aleksandryjskim Wołodia posłuchał ojca i wstąpił w szeregi carskiej kawalerii. Wtedy Bazyl poczuł się już spokojny. Armia zawsze wychowywała i prostowała charaktery. Bazyl wiedział i powtarzał z przekonaniem, że armia jest jak matka, można jej ufać, a ona zawsze otoczy opieką. Wróżył synowi świetną karierę. I nie doznawał zawodu.

Przy umiejętnym wsparciu finansowym oraz wpływach generała zarówno w armii, jak i na dworze carskim, Wołodia, może nie błyskawicznie, ale też bez specjalnych opóźnień, zdobywał kolejne awanse. Wraz z awansami rosły dochody. W carskiej armii oficerowie byli naprawdę dobrze opłacani. Z zachowanych w drewniakowym archiwum dokumentów wynika, że roczny przychód generała majora oscylował w granicach 40 tysięcy rubli. Dla porównania – cały

posag Izabelli Łęckiej z *Lalki* Prusa wynosił 30 tysięcy rubli, i stanowił wówczas całkiem znaczną fortunę. Tak więc i Wołodia, gdy wstąpił do Ułanów Lejb Gwardii Jego Cesarskiej Mości, znalazł się na cesarskim żołdzie i powoli zaczął zdobywać niezależność finansową. Ale gdy w 1909 roku wyprawiony przez ojca w tzw. hołostoj tour po raz pierwszy samodzielnie wyjechał do Amsterdamu, zabrawszy niejako przy okazji swoje rosyjskie zbiory, to wrócił z naprawdę pokazną gotówką. Rok później, gdy ze zbiorem wyjechał do Berna, historia się powtórzyła. W kolejnych latach, mieszkając już w Warszawie, wystawiał te zbiory w Wiedniu, Londynie i Paryżu. To – wpływy, dochody, których on, ojciec, nie kontrolował – irytowało generała. Niechby syn wydawał, tracił czerwonce na głupie przyjemności jak normalni młodzi mężczyźni, ale nie – on musiał mieć przychody, jakby na złość ojcu!

Jednak kiedy Włodzimierz podczas służby w Warszawie dostał awans (nie bez zakulisowych działań generała) na porucznika kawalerii oraz pomocnika inspektora typografii, generał major poczuł ulgę.

Choć Polski nie lubił, a Polakami gardził, Bazyli Amfianowicz przyznawał, że Warszawa to miasto ciekawe i – odkąd wzmocniono obsadę cytadeli – dość bezpieczne. Był w niej tylko raz, przelotnie, podczas przegrupowania w 1864 roku.

Jego przodkowie z pokolenia na pokolenie służyli w Armii Imperium Rosyjskiego, więc i on poszedł w ich ślady. Po ukończeniu Mikołajewskiej Szkoły Oficerskiej Kawalerii jego karierę i awanse zapoczątkowała wojna krymska, a rozwinęła polska rebelia. Za tłumienie powstania styczniowego Bazyli Amfianowicz dostał nawet order *Virtuti Militari*, ale od tego czasu zawsze mówił źle o Polakach. Wredni, podstępni, tchórzliwi i heroiczni – jednym słowem: nieprzewidywalni. Wśród Polaków przebywających na dworze w Petersburgu zawsze węszył spisek – uważał, że żadnemu Polakowi nie można wierzyć. Był typowym carskim polakożercą.

Generał Poliański wielbił cara Aleksandra II, któremu oddał młodość i zdrowie, walcząc w przeróżnych szeregach jego armii. Ukoronowaniem kariery Bazylego było wieloletnie dowodzenie I Brygadą 17. Dywizji Piechoty.

Uważał, że Aleksander II jako polski król był za dobry, zbyt liberalny w stosunku do Polaków, którzy odpłacili mu buntem styczniowym. Uznawał rebelię polskich niewdzięczników nie tylko za niehonorową, ale też moralnie krzywdzącą jego cesarza i całą dobrą Rosję. Po tragicznej śmierci ukochanego Aleksandra II, której sprawcą był w dodatku zruszczony Polak, Ignacy Hryniewiecki, niechęć generała do Polaków przemieniła się w prawdziwą nienawiść. Ta jednostronnie postrzegająca świat, imperialna mentalność w połączeniu ze zwykłym

żołnierskim ograniczeniem, typowym dla starych wojskowych, całkowicie uniemożliwiła porozumienie z synem.

Początkowo jednak wszystko zapowiadało się pomyślnie. Kiedy nastoletni Wołodia ubrany w granatowy mundur z czerwonym obszyciem na kołnierzu i mankietach przekroczył progi różowego gmachu w Petersburgu przy prospekcie Kamiiennoostrowskim, wkroczył na drogę, która ojcu wydawała się właściwą. Historia i tradycja tej uczelni napawały dumą serce generała.

Szkoła zwana Imperatorskim lub Cesarskim Liceum Aleksandryjskim, założona przez cara Aleksandra I w początkach XIX wieku, miała kształcić przyszłą elitę intelektualną Rosji. Aleksander I, rozpoczynając swoje panowanie, kierował się zasadami liberalizmu, wpojonymi przez swego szwajcarskiego nauczyciela, filozofa Frédérica Césara de La Harpe'a, i przeprowadził gruntowną reformę szkolnictwa. Car powołał do życia uniwersytety w Charkowie i Kazaniu oraz właśnie Cesarskie Liceum dla elit. Aleksander I nadał szkole hasło *Pour le bien commun*, czyli *Dla dobra wspólnego*. Liceum mieściło się początkowo w Carskim Siole obok pałacu Jekatierińskiego i przeznaczone było dla młodzieńców z najlepszych rodzin. Uczył się tu między innymi Puszkina. W 1844 roku szkoła została przeniesiona do Petersburga, co pozwoliło zwiększyć liczbę kierunków i klas. Wykładano nauki ścisłe, literaturę, historię, etykę, ale uczono też zasad etykiety dworskiej oraz tańca. Obowiązkowa była również jazda konna. Szkoła miała wojskowy charakter – dzień rozpoczynał się *pieriekliczką*, czyli apelem, uczniowie nosili jednolite umundurowanie, w którego skład wchodził też piróg na głowę i białe rękawiczki, zaś większość nauczycieli nosiła wojskowe mundury i tytuły.

Po przeniesieniu szkoły do Petersburga uczniowie nie musieli już być skojarzowani jak wcześniej w Carskim Siole. Liceum mieściło się na Pietrogradskiej Stranie, więc z Wyspy Wasilewskiej, gdzie mieszkali Poliańscy, nie było daleko. Wołodia mógł mieszkać w domu i być wożonym lub nawet w pogodne dni wybierać się do szkoły pieszo, byleby się nie spóźniał, gdyż surowo przestrzegano tu zasady punktualności. Ustawieni przed wejściem do budynku dwaj szwajcarzy w czerwonych płaszczach, z pelerynami obszytymi na brzegach orłami cesarskimi, nie wpuszczali do gmachu spóźnialskich, jeśli *pieriekliczka* już się rozpoczęła. Wojskowy dryl i dyscyplina, o którą dbali kolejni dyrektorzy, miłość do cara oraz głęboka religijność łączyły się nierozdzielnie z zasadami postępowania według kodeksu honorowego. Wszystkie te elementy budowały w młodych ludziach obraz Rosji wspaniałej, niezwyciężonej, monolitycznej, trwałej i niezmiennej.

Z punktu widzenia generała Poliańskiego szkoła zdawała się idealna dla jego syna, tym bardziej że surowy dyrektor Aleksander Salomon był jego dobrym

znajomym. W ówczesnym Petersburgu wszyscy się znali w obrębie swojej klasy społecznej. Do liceum uczęszczali chłopcy noszący hrabiowskie i książęce tytuły, nie tylko rosyjskie, ale też niemieckie, gdyż wiele rodzin o niemieckich korzeniach piastowało urzędy na dworze carskim, w carskiej administracji i armii. Polskich nazwisk było niewiele. Do klasy Wołodii uczęszczał Edward Meysztowicz, a o rok niżej Franciszek Drucki-Lubecki i Bolesław Chodkiewicz. W późniejszych latach w gronie absolwentów pojawiało się więcej polskich nazwisk – do liceum uczęszczali chłopcy z rodzin Broel-Platerów, Grocholskich, Rzewuskich czy Jełowieckich. Identyfikacja narodowa była jednak ogólnie dość płynna, gdyż rozrośnięte gałęzie rodów miały korzenie w całej Europie. Za ważniejszą niż jednoznacznie zadeklarowana narodowość uznawało się klasę społeczną – tytuły, urzędy, majątki, powinowactwo, koneksje i wpływy na dworze tworzyły pozycję rodziny. Kształcenie w Liceum Aleksandryjskim miało za zadanie tę pozycję dodatkowo wzmocnić.

Tak więc generał Poliański był spokojny, jeśli chodzi o naukę i wychowanie jedynaka, aż do momentu, gdy po ukończeniu klas gimnazjalnych i zdaniu matury Wołodia wybrał kurs prawny na poziomie uniwersyteckim. W Cesarskim Liceum Aleksandryjskim prowadzono nauczanie od gimnazjum aż do poziomu uniwersyteckiego. Dowodem na to jest chociażby fakt, że gdy po I wojnie światowej Polska odzyskała niepodległość i ujednolicała szkolnictwo po rozbiorach, Liceum Aleksandryjskie rozporządzeniem Rady Ministrów z 1922 roku znalazło się w wykazie szkół wyższych, równorzędnych uniwersytetom. Co zresztą później bardzo przydało się Wołodii.

W liceum było kilka tzw. specjalnych kierunków uniwersyteckich: inżynierski, ekonomiczny, konsularny i prawny. Wołodia wraz z kilkoma przyjaciółmi z klasy – księciem Sergiejem Obołeńskim, Nikołajem Flige i Karlem baronem Sztautenbergiem – wybrał kierunek prawny. Ta decyzja miała istotny wpływ na ich dalsze życie, gdyż nauczano tam prawa rzymskiego, którym kierował się świat zachodu Europy – świat innych kodów kulturowych, często nierozumianych w Rosji.

W przypadku Wołodii to właśnie wybór tego kierunku miał w konsekwencji doprowadzić go do zupełnie innego myślenia, innej filozofii życiowej niż ta, którą ojciec wpajał mu w domu. Prawo rzymskie to zbiór zasad wymyślonych przez człowieka, a nie łaska dana od Boga. To podporządkowanie się konieczności wyższej – właśnie – dla dobra wspólnego. I to rzymskie poczucie prawa było całkiem inne od rosyjskiego.

W Aleksandryjskim Liceum reguły te łączono jakoś zgrabnie z wiernopoddańczą lojalnością wobec cara, jednak w sposób nieunikniony prawo rzymskie

ukazywało inne niż w Rosji zasady budowy społeczeństw. Równość obywateli wobec prawa versus *samodierżawna* łaska władcy, logika versus ślepa wiara, porządek versus chaos – tak prawo rzymskie kształtowało podstawy kultury zachodnioeuropejskiej. A młody Włodzimierz Poliański chciał tę kulturę poznać. Był już wówczas zapalonym filatelistą i by rozpoznawać oraz powiększać zbiory, potrzebował wiedzy o kulturze łacińskiej.

Czas wolny, którego nie wypełniała nauka, Wołodia spędzał przeważnie w archiwach, bibliotekach i muzeach. Niekiedy z kolegami, częściej samotnie. Namiętnie odwiedzał też antykwiariaty w poszukiwaniu starych listów z prywatnych kolekcji. Posiadał całkiem spory zbiór znaczków, pieczęci i całostek, ale szczególnie interesowała go historia organizacji poczty w innych krajach, poza imperium. Badanie historii poczty francuskiej narzucało się samo z racji bieglej znajomości języka francuskiego i jednocześnie promieniowało na inne kraje, znajdujące się w strefie wpływów epoki napoleońskiej.

Po odebraniu dyplomu z rąk księcia Golicyna i księcia Oldenburskiego, który był kuratorem liceum, młody Poliański pożegnał dzieciństwo i posłuszny ojcu wstąpił bez entuzjazmu do Armii Carskiej. Uczniowie liceum opuszczali szkołę zazwyczaj w stopniu praporszczyka lub korneta. Był to czas wojny rosyjsko-japońskiej, ale zanim Wołodia dojechał do Mandżurii – a pojechał jako ochotnik – wojna się właściwie skończyła. Uczestniczył w jednej tylko bitwie zarajskiego pułku piechoty w miejscowości Laojan w okolicy Mukden, gdzie kula musnęła mu dłoń. Piechota zdecydowanie mu nie odpowiadała.

Po powrocie i rozmowie z ojcem zdecydował się wstąpić w szeregi Gwardii Imperium Rosyjskiego. Oczywiście do ułanów, bo miłość do koni była w rodzinie genetyczna. W Zubowszczyźnie prowadzono całkiem sporą stadninę. Hodowano głównie nieduże bułane lub siwe jabłkowite kłusaki, tzw. wiatki. Były to konie bardzo popularne, bo wszechstronne – mogły być układane do trojki i pod siodło. Poza wiatkami trzymano sporo koni zimnokrwistych o długich grzywach i mądrych oczach. Ich hodowla stanowiła znaczny dochód majątku. I jedynie konie łączyły zainteresowania ojca i syna.

W tym czasie dowódcą wojsk rosyjskich Warszawskiego Okręgu Wojskowego był generał-gubernator Gieorgij Skałon, a właściwie Scalon de Coligny, młodszy kolega Bazylego ze szkoły oficerskiej. Ten fakt należało doceniać. Stary generał wiedział, że w imperium protekcja czasem jest warta tyle co życie. Dlatego z zadowoleniem przyjął informację jedynaka o wyjeździe do Królestwa Polskiego, zwanego *Królestwem Kongresowym* lub *Kongresówką*.



Włodzia na koniu rasy wiatka z rodzicielskiej stadniny. Na czapraku inicjały Włodzii.
Zubowszczyzna, 1893 r.

Włodzimierz służył w Lejb-Gwardyjskim Pułku Ułanów Jego Wysokości. Była to formacja ogólnie znana, wręcz legendarna, ciesząca się renomą najlepszego pułku Armii Imperium Rosyjskiego pod względem męstwa, poczucia honoru, lojalności, koneksji, prezencji i subordynacji – zwłaszcza odkąd dowodził nią generał major Carl Gustaf Emil Mannerheim – późniejszy regent i prezydent Finlandii.

Teraz więc emerytowany generał Bazyli Poliański mógł spokojnie oddawać się starczym przyjemnościom życia w Petersburgu. I było tak do czasu, gdy po kilku miesiącach spędzonych u syna w Warszawie powróciła do domu Maria Wołkowińska, by zburzyć mu ten spokój. Biedna kobieta, sama przecież nieakceptująca do końca małżeńskiej decyzji Włodzimierza, została jeszcze przez syna obarczona misją udobruchania Papaszy. Powinna też wyznać, że syn porzucił



Wołodia Poliański w paradnym mundurze Pułku Ułanów Lejb-Gwardii Jego Wysokości. Petersburg, 1906 r.



Wołodia Poliański w randze porucznika Pułku Ułanów Lejb-Gwardii Jego Wysokości. Warszawa, 1912 r.

czynną służbę w armii, ale to było już ponad jej siły i fakt ten postanowiła zataić, licząc, że sprawy jakoś się ułożą.

Nie ułożyły się. W Lejb-Gwardyjskim Pułku Ułanów Jego Wysokości podczas stacjonowania w Warszawie Włodzimierz został doceniony przez generała Mannerheima i awansowany do rangi porucznika. Wojskowa kariera zapowiadała się świetnie. Również rosyjski Główny Inspektor Typografii, czyli po prostu cenzor, do którego armia oddelegowała Wołodię, był zadowolony z jego pracy. Aby jednak wstąpić w związek małżeński, należało mieć zgodę dowódcy – a uzyskanie zgody w przypadku małżeństwa z Polką, pochodzącą w dodatku z takiej sfery, było nieosiągalne.

W tej sytuacji z początkiem 1913 roku Włodzimierz Poliański podał się do dymisji z *przyczyn domowych*. Nie chciał mierzyć się z Mannerheimem, by wysłuchać – co oczywiste – ostrej i suchej odmowy. Poza tym upublicznienie jego matrymonialnych zamiarów z panną takiego pochodzenia lotem błyskawicy dotarłoby do ojca i skutecznie uniemożliwiłoby ubłaganie matki, na której zgodzie Wołodii szczególnie zależało.

Fakt, że przebywała w Warszawie, pewien element zaskoczenia i oszołomienia tą wiadomością sprawił, że, co prawda z oporami, ale pozwoliła na małżeństwo. Jej uczestnictwo w nabożeństwie ślubnym uspokoiło sumienia obojga małżonków. Sześć lat później mogli okazać jej, jak bardzo byli wdzięczni. Gdy po wybuchu I wojny światowej, w 1915 roku, garnizon rosyjski opuszczał Warszawę, za wojskiem podążały eszelony z ludnością cywilną. Żony i urodzone w Królestwie Kongresowym dzieci rosyjskich wojskowych, dygnitarzy i urzędników wracały do Matuszki Rosiji, w której sytuacja polityczna była niepewna i w której już wrzała rewolucja, choć jeszcze nie kipiała. W rosyjskim garncu pod dzwoniącą alarmująco przykrywką, składającą się z kolejnych prób reformowania kraju, wyczuwalny był już ukrop, który miał wkrótce zalać stary świat i przed którym Maria Wołkowińska musiała uciekać. Ale to miało dopiero nastąpić...

W 1913 roku pułk Wołodii skoszarowany był w budynku wybudowanym w parku Belwederskim w dole Łazienek oraz w drugim budynku nad Kanałem Piaseczyńskim – mniej więcej tam, gdzie dziś jest stadion Legii.

Oficerowie mieszkali na Zamku Królewskim, który oczywiście pomału dewastowali. Maria po przyjeździe do Warszawy zatrzymała się na Filtrowej, w domu swojej dużo młodszej siostry Anny i jej męża, lekarza Bazylego Abramowicza. Tam wpadał Wołodia i tam któregoś dnia zdecydował się oznajmić jej o swojej decyzji. Mój Boże... tak bardzo kochała syna...

A tymczasem *przyczyna domowa* o fiołkowych oczach szykowałą się do ślubu. Maria Wołkowińska widziała Leokadię tylko w cerkwi, gdy trzymała nad jej głową koronę i obdarowała ją naprędce przygotowanym ślubnym prezentem – kołnierzykiem z weneckiej koronki, okrywającym ramiona białym wachlarzem, aż do łokci. Ten niezwykły ażur, filigran z nici tak cienkiej jak w pajęczynie, wykonany ręcznie przez nieznaną artystkę, był pamiątką odziedziczoną po matce. W szkatułce, którą Maria zabrała ze sobą w podróż do Królestwa, znalazł się też sznur ogromnych ametystów dla panny młodej. Tyle było tych kontaktów. Następnie państwo młodzi wyjechali do Paryża.

A teraz w Petersburgu Maria Wołkowińska miała opowiedzieć o tym wszystkim mężowi. W Warszawie wszystko wydawało się prostsze – faktycznie świat się zmieniał. Jednak w miarę zbliżania się do Petersburga Maria Wołkowińska miała wrażenie, że zmieniał się coraz mniej. Generał Bazyli Poliański nigdy nie przyjął tej nowiny do wiadomości. Szalał ze złości. Polka! Z rodziny Włodarskich! Włodarskich! Ha, ha! Co to jest?! Co to za sfera? Jego dziadek był senatorem i kanclerzem cesarstwa! Jego babka była frejliną Katarzyny Wielkiej! Jej matka, hrabianka Elżbieta Romanowna Woroncowa, była faworytą cara Piotra III!

A jego syn, jego Wołodia, żeni się z Włodarską?! W świecie petersburskim to się nie mieści w głowie! Przecież tu mógł mieć Wołodia takie dobre partie! I co?! Poliańskich ma teraz rodzić jakaś polska Włodarska?!

Generał uważał, że syn zdradził rodzinę i armię, zdradził cara i zdradził Rosję. Bazyli odmówił wszelkich kontaktów i nigdy już się z synem nie zobaczył. Zmarł parę lat później i pochowany został w Petersburgu w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Mitrofanowskim – dziś już nieistniejącym.

Tak więc obydwie rodziny uznały to małżeństwo za mezalians, choć z zupełnie odmiennych przyczyn.

A państwo młodzi bawili się w Paryżu. W tym czasie Poliański posiadał już ugruntowaną pozycję badacza-filatelisty i znanego kolekcjonera. Od pierwszej wystawy w Amsterdamie, w 1909 roku, na której otrzymał srebrny medal, wystawiał zbiory na wszystkich kolejnych europejskich wystawach filatelistycznych. W 1910 roku w Berlinie przyznano mu medal brązowy, w następnym roku w Wiedniu medal złoty, w 1912 w Londynie medal srebrny pozłacany, zaś w Paryżu w 1913 medal złoty i dwa medale srebrne i wreszcie w Nowym Jorku, a następnie w Cassel (po 1926 Kassel) – kolejne złote medale.

Wszystkie te sukcesy przynosiły wymierne korzyści finansowe. Pojechali do Paryża, by odebrać okazałą gotówkę, będącą nagrodą za laury wystawy. Młoda żona mogła nie tylko ubrać się według najnowszej paryskiej mody, ale też prosić męża o realizowanie kaprysów i zachcianek, do których ten wręcz ją namawiał. Tego właśnie chciał, tego pragnął – malutkiej, świetnie sklepionej kobiecej maskotki o buzi dziecka. Chciał ją kochać, rozpieszczać i spełniać jej zachcianki. I tak było.

Raz tylko, jedna z próśb żony wprowadziła go w konsternację. Otóż Leokadia pewnego razu poprosiła go o... lalkę, którą widziała w sklepowej witrynie na Polach Elizejskich. Nigdy takiej nie miała. Zawsze o takiej marzyła. Uparła się jak dziecko. Od tej pory podróżowali we trójkę z Bellą, która zamykała oczy i mówiła *mama*. Ta słabość do lalek została jej na całe życie.